

*Powrót
na
Staromiejską*

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014
Text © by Anna Mulczyńska 2014

Projekt okładki *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

Zdjęcia na okładce:

© Humandream | Dreamstime.com

© mimiliz/sxc.hu

© giselaroyo/sxc.hu

© mzacha/sxc.hu

© Krappweis/sxc.hu

ANNA MULCZYŃSKA

*Powrót
na
Staromiejską*



Wydawnictwo
Nasza Księgarnia

Mirror Image - Odbicie lustrzane

Trzy tygodnie wcześniej...

We wnętrzu maleńkiego sklepiku z suvenirami i prezentami, wciśniętego pomiędzy kamienicę mieszczącą muzeum a sztokholmską katedrę, panował niesamowity gwar. Pomieszczenie zawsze wydawało się Weronice maleńkie i ciasne, jednak tego wieczoru to wrażenie dodatkowo potęgował tłum przyjaciół, których Marit i Alexandra zaprosiły na przyjęcie pożegnalne. Na drewnianej podłodze tłoczyły się dziesiątki stóp, ludzie krążyli jeden wokół drugiego jak satelity, przepychali się, wymieniali się ze śmiechem najnowszymi ploteczkami, pili drinki i co chwila zrzucali coś z półek poustawianych gęsto pod ścianami. Aby zminimalizować koszty, dziewczyny pozdejmowały ze stołów stojących pośrodku sklepu najcenniejsze i najkruchsze towary, ale i tak nie obyło się bez strat, gdy potężny Magnus omal nie przewrócił półki z porcelaną w kropki i kilka filiżanek spadło na deski.

Od sporej ilości herbatki z prądem i wypitych drinków Weronice zrobiło się zbyt gorąco, więc wyszła za-

czerpnąć świeżego powietrza. Na ulicy pachniało już jesienią, chociaż był dopiero początek września. Wciąż nie mogła się przyzwyczaić, że tu, do Szwecji, jesień i zima przychodzą wcześniej niż do Polski. Żelazne latarnie rozświetlały kocie łby na ulicy, lśniła też na nich warstewka deszczu, który w połączeniu z opadłymi złocistymi liśćmi od razu wpędził ją w nostalgiczny nastrój. Zerknęła w jasne okienko sklepu i na widok rozbawionego tłumu wewnątrz zrobiło jej się smutno. Nie miała pojęcia, że aż tyle osób ją lubiło, że zdobyła w Szwecji tak licznych przyjaciół; a dziś każdy poklepywał ją po plecach, dopytywał o plany na przyszłość i ubolewał, że bez niej sklepik nie będzie już taki sam.

W tym momencie pożałowała trochę decyzji o powrocie do Polski. Zdażyła zapuścić w Sztokholmie korzenie i pokochać to miasto – położone na wyspach, wilgotne, mgliste, poprzecinane kanałami, po których kursowały promy wycieczkowe i prywatne łodzie. Uwielbiała wszechobecną tu przyrodę – widok stada saren spacerujących spokojnie po ulicy nie należał do rzadkości, na parapecie jej sypialnianego okna często przysiadła puchata, żółtooka sowa. Co prawda pierwszy rok w obcym kraju był dla Weroniki trochę szokujący, ale teraz z dumą mogła stwierdzić, że dała radę. Nawet język, z którego na początku wyłapywała tylko pojedyncze wyrazy, a i tak ich znaczenia nie знаła, udało jej się w końcu opanować, chociaż do dziś mówiła z obcym akcentem. Gdy miała wolne od zajęć na uczelni, włączyła się z ra-

dością po mieście i poznawała je od podszewki. Zaczęła też chodzić trzy razy w tygodniu na kurs szwedzkiego i właściwie życie w Skandynawii coraz bardziej jej się podobało.

– Nie martw się tak!

Poczuła klepnięcie po ramieniu. Obok niej stanęła Alexandra, poznana kilka lat temu na Wydziale Tekstyliów Artystycznego Uniwersytetu Konstfack, jej przyjaciółka i współpracowniczka.

– Przecież zawsze możesz do nas wrócić. – Alex zapaliła papierosa i zaciągnęła się nim łapczywie. – Ale tak na serio to pamiętaj, że obiecałaś z nami współpracować, więc jeśli nie zobaczą przynajmniej raz w miesiącu paczki od ciebie, to przyjadę i osobiście skopię ci tyłek w tej twojej cudnej Polsce! – zagroziła.

Weronika się uśmiechnęła. Jasne, nie zostawi na pastwę losu dziewczyn i ich wspólnego dzieła. Sama dołączyła do ekipy Hopp Hopp Shopu w chwili, gdy zdążyły już rozwinąć skrzydła i zadomowić się na dobre na Gamla Stan, sztokholmskiej starówce. Po prostu koszty utrzymania w Szwecji nieco ją przerosły i rozglądała się za dodatkową pracą. Przez kilka miesięcy była zatrudniona na stoisku z czekoladowymi figurkami w centrum handlowym Gallerian, ale praca była nużąca, a tłumy przewijające się przez galerię szybko zaczęły doprowadzać ją do szwabskiej pasji. Nie lubiła tłoku, hałasu, ciągłego ruchu, najlepiej czuła się wśród niewielkiej grupy przyjaznych osób, więc rozglądała się gorliwie za nowym zajęciem.

Tak się złożyło, że Marit i Alexandra od dawna współpracowały jako stylistki wewnątrz z agencją nieruchomości prowadzoną przez matkę Alex, więc szybko zwerbowały do współpracy polską studentkę, która swoimi projektami zostawiała resztę kolegów daleko w tyle. Weronikę zdumiał popyt na takie usługi. Niemal każdy, kto sprzedawał mieszkanie, wcześniej inwestował parę groszy w profesjonalistów, którzy zmieniali kolory ścian, ustawienie regałów i kanap; w agencji można też było wypożyczyć meble do sesji zdjęciowej, dzięki czemu oferty sprzedaży wyglądały atrakcyjniej w serwisach ogłoszeniowych. Tak naprawdę większość tych mieszkań nie odbiegała standardem od polskich, a niektóre wyglądały nawet znacznie gorzej, bo instalacje hydrauliczne bardzo często umieszczano na widoku i rury traktowano jako element wystroju. Jednak gdy do takiego mieszkania wchodziło z siłą tornada styliści, nawet te błyszczące srebrzyście rury stawały się dziełem sztuki, więc bez wstydu pokazywano je na zdjęciach. Weronika była zaskoczona rozdzwieniem pomiędzy doskonałymi zdjęciami a prawdziwym wyglądem mieszkań do wynajęcia. Pozbawione mebli, dywanów i lamp – już tak nie zachwycały. Całe ich piękno tkwiło zatem w dobrej aranżacji i świetnych fotografiach, w niczym więcej.

Jedynym lokalem, na jaki Weronika mogła sobie wtedy pozwolić, było paskudne, maleńkie mieszkanko na obrzeżach Sztokholmu, w Alviiku, niedaleko pętli autobusowej. Jej pierwsze samodzielne lokum w stolicy

Szwecji – obskurne, zapyziałe, z hałaśliwymi sąsiadami za ścianą. Było tak małe, że prysznic w łazience podłączono do kranu nad umywalką; gdy chciała się wykąpać, musiała zamknąć drzwi i klapę od sedesu, bo woda z prysznica lała się po całym pomieszczeniu, mającym może półtora metra kwadratowego powierzchni. Denerwował ją też dojazd na uniwersytet – żeby dotrzeć do szkoły, musiała dostać się do centrum i tam przesiadać się do metra, lepszej trasy nie było.

– Oszaleję tam, oszaleję – narzekała w szkole po kolejnej nieprzespanej nocy. Sąsiedzi świętowali akurat kolejne urodziny albo rocznicę i hałas nie pozwalał Werce zmrużyć oka. Znowu spędziła całą noc, szkicując nowe projekty w notesie, oparta o kraciatą poduchę, i próbując zagłuszyć swoją muzyką imprezę za ścianą.

– Marit szuka współlokatorki. – Alexandra podniosła głowę znad projektu, który przygotowywali na zajęciach. – Pogadaj z nią!

Werka pogadała i tydzień później mieszkała już znacznie bliżej centrum, przy stacji metra Kristineberg. I odkryła, że Marit i Alex jakiś czas temu otworzyły sklep, który na początku nazywała „z mydłem i powidłem”. Czegóż tam nie było! Kolorowe ramki o różnych kształtach, przypinki, spinki do włosów, metalowe szyldy retro z zabawnymi hasłami, bieżniki i dywaniki. Sklep był zawalony duperelkami i zabawnymi gadżetami, które ludzie – o dziwo – dość chętnie kupowali na prezenty.

Alexandra pewnie nie wspomniałaby Weronice o sklepie, ale od dawna z zaciekawieniem obserwowała jej styl ubierania i zastanawiała się, skąd pochodzą stroje koleżanki. Werka zawsze miała na sobie coś niesamowitego i niepowtarzalnego, co z daleka wyróżniało ją na sztokholmskich ulicach. Szwedki ubierały się zazwyczaj w wygodne ubrania o stonowanych kolorach, więc gdy pomiędzy nimi pojawiała się barwna jak motyl Weronika, z wielkimi oczami podkreślonymi kilkoma warstwami tuszu do rzęs i kolorowym ołówkiem, od razu przyciągała wzrok. Gdy zamieszkała razem z Marit, dziewczyny zauważyły, że styl Weroniki w dziewięćdziesięciu procentach składał się z pomysłu i dobrych szkiców oraz ciekawych, najczęściej vintage'owych tkanin wygrzebywanych w ciucholandach, resztę nadrabiała dodatkami. Często siadywały wieczorami z otwartą butelką wina, z jakimś dobrym jedzeniem przyniesionym z którejś knajpki, bo żadna z nich nie lubiła gotować, i gadały, a Weronika przerabiała w tym czasie swoje ubrania, prując, fastrygując i ozdabiając. Marit szybko zaproponowała jej, żeby zaczęła niektóre z nich wstawiać do Hopp Hopp Shopu. Były kolorowe, w cygańskim stylu i chociaż wymagały znacznej odwagi od noszących je kobiet, szybko zaczęły znajdować nabywców. Rozochociona Werka spędzała często długie godziny nad maszyną do szycia, tworząc nowe cudenka. Z przyjemnością przesiadywała też w urokliwym sklepie i czasami zastępowała dziewczyny w ob-

słudze klientów, aż w końcu zaproponowały jej udział w tym niewielkim przedsięwzięciu.

– Widziałaś, kto u nas jest?! – Marit dopadła ją pewnego dnia i dawała gwałtowne znaki, każąc spojrzeć w stronę wieszaka z torebkami i paskami. – Widziałaś?!

W chudzinie z burzą blond włosów, najprawdopodobniej doczepianych, oglądającej skórzany czarny pas nabijany ćwiekami, od razu rozpoznała jedną ze szwedzkich celebrytek. Podskoczyła podekscytowana, gdy tamta nie tylko kupiła pasek, ale wzięła też opaskę do włosów z czarną tarantulą i tiulowymi dodatkami.

Tarantula na głowie gwiazdy została uwieczniona przez paparazzich na jakimś bankiecie i stała się hitem brukowców, więc od tej pory zaczęło do nich zaglądać coraz więcej osób. Dziewczyny studiowały, tworzyły dodatki, wyciągały z rozmaitych pchlich targów starocie, które po przeróbkach i liftingu sprzedawały się całkiem nieźle, i ich mała firma jakoś prosperowała.

Werka przytuliła się do ramienia przyjaciółki i spojrzała przed siebie, tłumiąc łzy i czując, jak pomarańczowe ściany kamienic stojących naprzeciwko napierają na nią tak, że zakręciło jej się w głowie. Brakowało jej tchu, przestraszyła się, że zaraz zacznie się dusić. Odwróciła głowę i żeby się uspokoić, zaczęła liczyć rozświetlające mrok żelazne lampiony przymocowane do ścian kamienic. Było ich siedem aż do szyldu galerii z meblami, później kolejne cztery aż do skrzyżowania.

– Alex, przyrzeknij mi, że nie powiecie mu, dokąd wyjechałam – poprosiła cicho. – Prędzej czy później i tak mnie pewnie znajdzie, ale wolałabym, żeby to nigdy nie nastąpiło. Nie chcę mieć z nim już nic wspólnego! Nigdy, przenigdy!

Alexandra spojrzała na Weronikę ze współczuciem i pocieszająco pogładziła ją po plecach.

– Hej, to ty jesteś naszą przyjaciółką, nie ten popapraniec Lars. Nie piśniemy ani słówka! – przyrzekła. – Masz to jak w banku, tylko nie rycz! Wiesz, że ja zawsze jestem po twojej stronie, tego możesz być pewna!

Werka wytarła nos w rękaw i starała się uspokoić, ale wyznanie przyjaciółki mocno ją rozczuliło.

– Zaczekaj chwilę.

Wbiegła na zaplecze sklepu i zanurkowała w swojej walizce wypchanej do granic możliwości. Zmieściła tam niemal całe sztokholmskie życie, więc nic dziwnego, że ledwo była w stanie podnieść ten ciężar. Przełożyła do bagażu podręcznego gotowe już bloki patchworku Dear Jane i wygrzebała z bocznej kieszeni prezenty dla Alex i Marit. Wydziergała dla nich na cienkich drutach niemal identyczne pary skarpet. Były ozdobione motywami, które zawsze wprowadzały je w nostalgiczny nastrój. Szwedzkie koniki Dala, kaktusy – przypominające im, jak pewnej zimy miały dość mrozu, więc w przerwie międzysemestralnej wybrały się do Meksyku i wydały na wyprawę całe oszczędności przeznaczone na towar do sklepu, muffiny, które niemal codziennie zajadały,

wychodząc z metra w centrum miasta, i serduszka – mające w infantylny sposób na zawsze symbolizować ich przyjaźń. Wróciła przed sklep i podała Alexandrze prezenty.

– Na mnie już chyba czas, Alex... – westchnęła.

Pozwoliła uściskać się przyjaciółce jeszcze raz, po czym pomachała jej na pożegnanie. W połowie drogi do stacji metra odwróciła się i podniosła rękę, pozdrawiając tym gestem Sztokholm, przyjaciół i wszystko, co zostawiała za sobą.

– Trzymajcie się!!! – krzyknęła, machając ręką na pożegnanie.

„Będę za wami tęskniła” – pomyślała Weronika, chłonąc wzrokiem wieczorne szarzejące szwedzkie widoki przesuwane się szybko za oknami autobusu i starając się jak najwięcej z tych obrazów utrwalić sobie w głowie. Zawsze je uwielbiała. Niby podobne do ojczystych krajobrazów, a jednak w Polsce nie było takiej intensywnej, nieco dzikiej zieleni ani takich skał z wykutą autostradą, która prowadziła na lotnisko Arlanda. Zawsze gdy na nie patrzyła, miała wrażenie, że zza drzew wyrastających ze skalnego podłoża wyłoni się wilk. Albo wiking. Zdecydowanie łatwiej było się przenieść myślami do czasów wikingów, gdy przed oczami rozciągały się granitowe ściany. Tak, tak, wikingowie mieli u niej od razu plus dwadzieścia punktów za charyzmę, te płowe włosy (rude, nie płowe, jak powiedziałaaby Marit), oczy,

w których odbijał się błękit fiordów, normalnie ślinka leciała. Obecnie Weronika tkwiła na bardzo ostrym zakręcie swojego życia i nawet gdyby stanął przed nią sam wódz wikingów, piękny jak Odyn, nie zwróciłaby na niego uwagi albo odwróciłaby się na pięcie, nieczuła na spojrzenia pełne barwy fiordów i runiczne zakłęcia. Jednak uroku mężczyznom ze Szwecji odmówić nie mogła. Zawsze dobrze ubrani i uczesani, stale promienni. Podejrzewała, że nie tylko za krajobrazami będzie tęskniła.

Do szwedzkich atrakcji poza wikingami niezmiennie dodawała też domki, drewniane, czerwono-pomarańczowe domki! Urocze, maleńkie, łatwe do ogrzania i posprzątania, z dużymi oknami. „Może udałoby się kiedyś kupić taką składaną drewnianą budkę i przetransportować ją do Polski?”. Niedaleko lotniska mieli taki sklep z domkami, które można kupić w częściach; były tam też drewniane altanki, idealne na działkę, ale i tak zachwycały swoim urokiem. Odcień, kojarzący się jednoznacznie ze Skandynawią, zawdzięczały farbie robionej na bazie rudy żelaza – taniej i łatwo dostępnej. Podobno kiedyś był to kolor używany jedynie przez biedaków, bogacze szczylicili się siedzibami malowanymi na inne, jaśniejsze, jednak przez wieki ta ceglasczerwona barwa tak silnie wrosła w krajobraz Szwecji, że stała się niemal tradycją.

Weronika jechała na lotnisko. Kiedy kierowca autobusu zapowiedział, że zbliża się cel ich podróży – terminal piąty, z którego zazwyczaj odlatywały samolo-

ty do Polski, lekko się zestresowała. Jak wyjmie swoją walizkę spod stosu innych, pewnie równie ciężkich jak jej? Z pomocą przyszedł siedzący na fotelu przed nią japoński turysta, który przez całą drogę przeglądał zdjęcia w aparacie, zerkając kątem oka na stopę Werki, ukrytą w srebrnej, wyszywanej cekinami balerince, podrygującą w rytm muzyki tuż koło jego siedzenia. Chudy, nieduży, a z walizkami poradził sobie ekspresowo, czym wzbudził jawny podziw Weroniki. Tak naprawdę stres był spowodowany nie tyle koniecznością dźwigania ciężkiej walizy i sporego bagażu podręcznego, ile sytuacją, w jakiej się znalazła. Jeszcze kilka dni temu o tej porze siedziała z Marit na drinku i oznajmiała o decyzji wyjazdu, robiąc przed przyjaciółką dobrą minę do złej gry, teraz zaś wracała do Polski i nie wiedziała, co ją tam czeka, czy wymyślony przez nią plan ma w ogóle szansę na urzeczywistnienie. „I tak nic cię tu już nie trzyma, pora wracać na stare śmieci – zbeształa się w duchu. – A jeśli nie spróbujesz, nigdy się nie dowiesz”.

Pobiegła do odprawy – im szybciej, tym lepiej. Kochała latanie, ale te wszystkie okołopodróżne ceremonie, kontrole, nalepki walizkowe zawsze ją stresowały bardziej niż sam lot. Po prostu na lotniskach się gubiła – raz weszła nie w to wyjście, w które powinna, innym razem nie mogła znaleźć na tablicy odlotów informacji o swoim samolocie. Kiedyś wypadła z terminalu, zapomniawszy o walizce, która dopiero wyjeżdżała na taśmociąg. Ona,

taka roztropna i trzeźwo myśląca! Tak, lotniska zdecydowanie pozbawiały Weronikę pewności siebie.

Tym razem poszło szybko i bezboleśnie. Nawet nie kazali jej wyrzucać igły wpiętej w patchwork, który właśnie szyła. Zawsze przed wylotem starała się ją zakamuflować w robótce i na dobrą sprawę nigdy nie musiała żadnej zostawiać; nawet gdy lecieli z Larsem do Stanów w podróż poślubną, miała ze sobą na pokładzie wyszywanek. Jedyną rzeczą, jakiej nie pozwalali zabierać do samolotu, były nożyczki, więc Weronika ratowała się obcinakiem z pudełka z nicią dentystyczną. „Widać nie wyglądam na terrorystkę” – podsumowała z zadowoleniem, macając palcem czubek igły.

„Kawy! – zaskowyczało coś w środku jej mózgu na widok sieciówki sprzedającej ulubiony napój. Średnie latte, i to szybko!”. Po wlanych w siebie na przyjęciu drinkach w jej krwi nie było już śladu, teraz organizm domagał się zwiększonej dawki kofeiny. Podała pracownikowi kawiarni imię Kasja do zapisania na kubku, bo z doświadczenia wiedziała, że „Weronika” nikt w Szwecji nie zapisze ani nie wymówi poprawnie.

– Skinny latte dla Kasji. – Niewysoki kelner przesunął w jej stronę po śliskim blacie biały kubek. – A może spróbuje pani naszej mrożonej kawy? – Na tacy miał mnóstwo próbek w maleńkich plastikowych kubeczkach.

Zajrzała mu przez ramię – oferowane porcje były z bitą śmietaną, więc podziękowała. Nie po to zama-

wiała kawę na odchudzonym mleku, żeby później dogadzać sobie kaloriami z tłustej śmietany.

Siedzenie przy oknie i obserwowanie startujących jeden po drugim samolotów błyskających w ciemnościach światłami to już była czysta przyjemność. Pokochała te skrzydlate maszyny całkiem niedawno, gdy zamieszkała w niedużej kawalerce w Brommie, niedaleko lotniska. W końcu miała mieszkanie tylko dla siebie, nikt jej się nie plątał pod nogami, nie słyszała sąsiadów za ścianą, więc pokochała przedmieścia Sztokholmu z całym dobrodziejstwem inwentarza, nawet huk startujących i lądujących samolotów nie mącił jej snu.

Popijała kolejne łyki kawy, zagryzając kielbaskami z renifera. Smakowały specyficznie, kwaskowato; chyba wszystkie wędliny w Szwecji przygotowano na jedną modłę, ale ona lubiła ten smak. Chciała zachować go w pamięci na dłużej, więc skorzystała z promocji w lotniskowym sklepiku i kupiła kilka paczek szwedzkiego specjału. Wyjęła z bagażu podręcznego laptopa, zrobiła zdjęcie gazetom o rękodziele, w które zaopatrzyła się przed chwilą w kiosku, i umieściła fotkę na blogu wraz z krótką notką:

Zastanawiacie się pewnie, jak idzie szycie mojej kołdry Dear Jane. Otóż w ciągu ośmiu miesięcy powstało sto siedemnaście bloków. Za mną dokładnie dziewięć rzędów tego patchworku. Zostają cztery rzędy oraz trójkąty na krawędziach – mam sto osiem brakujących bloków. Czy-

li... połowa za mną albo przede mną, zależy, jak na to spojrzeć. Gdybym szyła kołderkę w podobnym jak dotychczas tempie, wyleczyłabym swoje złamane serce za jakieś siedem miesięcy. Jednak biorąc poprawkę na moje plany na przyszłość, jestem niemal pewna, że zajmie mi to trochę więcej czasu – nie dam rady szyć jednego bloku w dwa dni. Jak to będzie z Dear Jane i moim sercem? Wkrótce się przekonamy, i Wy, i ja.

A na razie specjalnie dla Was – lotniskowe zakupy i początek podróży do nowego życia. Szczegóły? Może kiedyś, na razie to tajemnica; lepiej skupcie się na tych cudnych gazetkach.

Sprawdziła jeszcze wiadomości. W skrzynce tkwił jedynie samotny mail od Larsa. Jej serce lekko drgnęło, ale przypomniała sobie, jak paskudnie czuła się przez męża w ostatnich miesiącach, i szybko wyłączyła opcję „żałuję” w swoim sumieniu. Rozwód. To słowo wciąż gorzko smakowało. Wcisnęła „usuń” i mail zniknął z jej poczty równie szybko, jak się tam pojawił. Wyjrzała przez ogromną tafłę szkła na płytę lotniska i mimo wszystko lekko zadrżała. Za kilka godzin będzie w kamienicy na Staromiejskiej. Sama i zdana tylko na siebie, bez znajomych, przyjaciół, nawet mama i ojczym mieszkali na drugim końcu kraju. Złapała się na myśli, że gdyby ktoś w tej chwili poprosił, by została w Szwecji, pewnie szybko porzuciłaby mrzonki o własnym biznesie w Polsce

i nie zdecydowałyby się na wyjazd, ale nikt jej nie zatrzymywał.

Do zajętego przez nią stolika w kawiarni nie docierał lotniskowy hałas, było cicho i tak spokojnie, jakby przetaczający się po terminalu tłum gdzieś zniknął, więc zerkała tylko nerwowo na zegarek w telefonie, oczekując na otwarcie bramki. Miała jeszcze dobrą godzinę do odlotu, czas na Arlandzie płynął jej wyjątkowo wolno, więc podparła brodę na pięści i zamyśliła się, smętnie przeżuując kolejną kielbaskę. Gdyby w wakacje na rodzinnym forum nie wypłynęła sprawa odziedziczonego przez nią domu po dziadkach i konieczności zajęcia się nim bądź jego sprzedaży, pewnie nie wpadłaby na pomysł powrotu do ojczystego kraju. Jednak po rozstaniu z mężem w duszy czuła tak straszliwą pustkę, że czepiała się każdego skrawka tej dawnej Weroniki, którą kiedyś była.

Z domem dziadków zawsze wiązały się dobre wspomnienia. Pamiętała kojący spokój mieszkania nad zakładem zegarmistrzowskim, przerywany jedynie tupotem jej bosych stóp dudniących na starym parkiecie i dźwiękiem trzeszczącego adaptera, na którym we trójkę puszczały pocztówki grające ze starymi szlagierami, a ona ochoczo uczyła się ich tekstów i melodii na pamięć. W jej wspomnieniach wciąż pojawiał się płócienny obrus na kuchennym stole, zastawianym przez babcię gorącymi pierogami z kapustą i grzybami, których smak czuła do dziś. Pamiętała tykające zegary w warsztacie dziad-

ka, który pozwalał jej przesiadywać w nim godzinami. On, w grubych okularach na nosie, reperował delikatne mechanizmy, ona siedziała cichutko w kąciku i rysowała postacie z bajek albo szyła ubranka dla lalek ze skrawków tkanin wyciągniętych przez babcię z wielkiego worka. Tutaj, w Sztokholmie, większość rzeczy wciąż wydawała się jej trochę obca i kojarzyła się z nieudanym małżeństwem, dlatego czuła, że tylko na Staromiejskiej, otoczona wspomnieniami z dzieciństwa, może odzyskać spokój ducha.

Uznała, że przyda jej się przewrócenie życia do góry nogami i że potrzebuje wyzwania, dlatego postanowiła otworzyć w Polsce sklep, jakiego nigdy nie mogła w kraju znaleźć. Sklepek z artykułami do wszelkiego rękodzieła, mekkę zakręconych na punkcie *handmade* i miejsce spotkań dla kreatywnych dusz, podobne do sztokholmskiego Panduro Hobby, chociaż oczywiście w znacznie mniejszej skali.

Z rozrzewnieniem wspomniała Panduro, miejsce, gdzie mogła wydać każde pieniądze. Wielką, ogromniastą halę, kuszącą witryną tuż przy wyjściu ze stacji metra Hötorget, podzielono na działy, w których można było utknąć na długie godziny. Istny raj dla uwielbiających rękodzieło. W dziale scrapbookingu papiery do scrapów zajmowały dobrych kilka metrów powierzchni i zachwycały różnorodnością barw i wzorów. A oprócz tego leżały tam kolorowe tusze, stempelki, dziurkacze do wycinania z papieru przeróżnych kształtów. Obok działu dla robiących świe-

ce i mydełka – z knotami, formami, barwnikami i zapachami, można było przejrzeć literaturę na ten temat albo kupić gotowe zestawy z objaśnieniem, jak wykonać kolorowe świeczki i mydła w kształcie różyczek. Sporo osób kręciło się zawsze koło półek wypchanych motkami wełny. Nieopodal leżały styropianowe literki przeznaczone do zdobienia. Naklejanie napisów na ścianach mieszkań było od kilku lat modne w świecie dekoratorów wnętrz, a tutaj sprzedawano litery różnej wielkości.

Jednak Weronika zawsze po wejściu od razu skręcała w lewo, do działu tkanin i dodatków, i z radością zanurzała ręce w dziesiątkach bawełnianych, miękkich bel. Półka z tkaninami była ogromna, kilkupoziomowa, zwoje materiałów leżały na niej jeden obok drugiego, a każdy kusił: „Weź mnie, weź mnie”. Werka z lubością dotykała bawełny i co chwila wykladała ciężkie bele na stojący obok stół, na którym sprzedawczyni – przyzwana dzwoneczkiem umieszczonym na blacie – odcinała żadaną ilość materiału. Jej zakupy nigdy nie kończyły się na tkaninach. Do koszyka wpadały wstążeczki i taśmienki, których zatrzesienie wisiało na stojakach, kupowała też setki kolorowych guziczków, sznureczków do zdobienia i koronek pakowanych po kilka wzorów. Czasami prosiła o odmierzenie paru metrów gotowych lamówek, bo nigdy nie chciało jej się ich robić, a używała ich sporo.

O własnym sklepiku Weronika marzyła już od dawna. Do tej pory nie udawało jej się jednak urzeczywistnić

tego pragnienia, nie miała nawet konkretnej wizji, jak miałby wyglądać. Jednak napływające do głowy wspomnienia zakładu zegarmistrzowskiego, jego ogromnych okien, szerokiej witryny i dość sporego wnętrza, w którym Weronika jako dziecko spędzała całe godziny, obserwując dziadka Jana przy pracy, podsunęły jej pomysł na Robótkowo. Od razu w wyobraźni zobaczyła swój sklepik – przytulny, kolorowy, pachnący, pełen dobrej energii i miłych klientów. Naszkicowała go na wiele sposobów w notatniku, wyobrażała sobie, co mogłaby w nim sprzedawać i jak ustawić regały z towarem. Gdy całość projektu nabrała w miarę konkretnego kształtu, przeliczyła odłożone pieniądze, kupiła bilet do Polski i spakowała walizkę.

Padła drobna mżawka, gdy Weronika, ciągnąc turkoczającą walizkę po kocich łbach, dotarła pod dom dziadków. Dobiegała północ, wokół nie było widać żywego ducha. Jedyne w położonej nieopodal restauracji dostrzegła jakieś ślady życia. Przed wejściem siedział młody mężczyzna i posilał się w pośpiechu, grzebiąc jednocześnie w telefonie. Spojrzał spode łba na hałasującą walizkę dziewczyny i powrócił do pisania SMS-a. Weronika wyciągnęła klucze z sekretnej, zapinanej na suwak kieszonki i włożyła największy z nich do zamka w drzwiach. Zawiasy zaskrzypiały przeraźliwie, co z pewnością obudziło okolicznych mieszkańców, i w końcu dawny zakład dziadka Jana stanął przed nią otworem. Weszła do ciem-

nego, pachnącego kurzem wnętrza i zatrzasnęła za sobą drzwi. Była w domu, u siebie, otaczały ją wspomnienia wakacji spędzanych u dziadków i coś jeszcze, coś niewidzialnego, nieuchwytnego, coś, co dobrze wpływało na jej duszę. Niemal słyszała tykanie zegarów, które kiedyś wypełniały dziadkowy warsztat, chociaż dziś ściany świeciły pustką, a na kontuarze można było pisać palcem, tak był zakurzony.

Piknął cichutko jej telefon – to Alex. „Daj znać, czy dojechałaś, bo sprawdzałam, że twój samolot dawno wylądował, a ty nic”. Odpisała w jednym zdaniu, że wszystko okej. A teraz szybko na górę, do mieszkania, i czas na sen. To był długi dzień, wypełniony wrażeniami: najpierw poranne leczenie kaca po ostatnim babskim wieczorze w klubie – według Marit sok pomidorowy połączony z wódką zawsze działał niezawodnie na ból głowy – później szybki obiad z przyjaciółmi, popołudniowa impreza w sklepie, lot i długa jazda taksówką. Zmęczenie dopadło Weronikę niemal od razu po tym, jak przekroczyła próg mieszkania, więc wyjęła tylko z walizki pidżamę, przybory toaletowe i pognęła na górę, do sypialni, w której zawsze nocowała, gdy była małą dziewczynką. Nie znalazła żadnej pościeli, więc sięgnęła po małą poduszczkę i koc i prawie natychmiast zapadła w sen.

Edek Zawiślak miał dwa marzenia. Pierwsze było dość banalne i dotyczyło Trattorii Cannelloni. Chciał w końcu spłacić przekłęty kredyt ciężący na lokalu,

który od czasu, gdy frank poszybował w górę, przestał być niewielkim obciążeniem i kładł się sporym cieniem na codzienność Edka i jego współnika Roberta. Krok za krokiem wprowadzali drobne zmiany w niewielkiej restauracji, dodawali pyszne nowości do menu, szukali ciekawych smaków, eksperymentowali z ich łączeniem. Robert wymyślał ciągle nowe metody przyciągnięcia klienteli, ale ich dochody jakoś nie rosły i comiesięczne raty dotykały ich coraz boleśniej. Może gdyby udało im się zdobyć tytuł knajpy roku, coś by drgnęło, ale Edward doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że w tym roku to raczej marzenie ściętej głowy. Może za rok albo dwa lata; teraz nie było sobie czym głowy zaprzętać.

A drugie Edkowe marzenie... Tak, do drugiego marzenia nie przyznawał się nikomu, chował je głęboko w sercu i strzegł pilnie jak Cerber. Chciał po prostu znaleźć kobietę swojego życia, kogoś, z kim można podzielić codzienne troski i radości, przy kim można się zestarzeć. Ostatnio samotność zaczynała mu dość mocno dokuczać i czuł wyraźnie, że powoli kapcanieje i zamyka się w sobie.

Kiedy naprawdę miał już dosyć wszystkiego, jechał do rodzinnego domu na przedmieściach. Mieszkała tam teraz jego mama, która po śmierci męża zajęła pokój na poddaszu, oraz brat z rodziną – żoną Beatą i dwójką pięcioletnich bliźniąt, Wojtusiem i Kasią. To dzieciaki najbardziej cieszyły się z jego wizyt. Dorobił się nawet ksywki Wujek Edek Debeściak, od złotego psa, którego przygody dzieci uważnie śledziły na Car-

toon Network. Nic dziwnego, Wujek Debeściak uwielbiał bratanka i bratanicę, zawsze fundował im wycieczki do zoo albo dawał się wciągać w najbardziej szalone zabawy w ogrodzie. Czasami jeździli też za miasto, nad jezioro. Te wyprawy szczególnie polubił Wojtuś, który za noc spędzoną pod namiotem przy ognisku mógłby oddać sporą część swoich zabawek.

Jakiś czas temu Edek miał w domu rodzinnym swoje dwa nieduże pokoiki z osobnym wejściem, ale odkąd jego niewielki biznes zaczął wymagać coraz większych nakładów pracy, nocował tam coraz rzadziej. Przeniósł się do Ani, swojej ówczesnej dziewczyny, tancerki w zespole baletowym w pobliskiej operze. Dzielnicę, z której się wywodził, ochrzciła mianem burakowa. Że niby asfaltowych ulic brak, kanalizacji w niektórych domach nie ma, jest za to bazar i stacja przeładunkowa PKP. Powiedziała to w żartach, ale nieco go to ubodło. Rzeczywiście nie było to najpiękniejsze miejsce na świecie, ale Edward czuł jakąś więź ze spokojnymi uliczkami i z sąsiadami, jednak po krytycznej uwadze Ani zaczął się krępować tam jeździć. Gdy bliźniaki podrosły i zaczęły dokazywać po całym mieszkaniu, Edek zaproponował bratu, żeby przejęli jego część domu i po trochu go spłacali. Może był chłopakiem z mało atrakcyjnej dzielnicy, ale czuł, że czas coś w życiu zmienić. Właściwie dlaczego miałby tego nie dokonać?

I właśnie wtedy nadarzyła się okazja dokupienia sąsiedniego lokalu i przekształcenia budki z kanapkami

na wynos w niedużą restaurację, z czego Edek skwapliwie skorzystał, zaciągając z Robertem niemały jak na ich możliwości kredyt hipoteczny. Lokalizacja była doskonała – deptak prowadzący z jednej strony na stare miasto i do opery, z drugiej – sąsiadujący z dzielnicą biurową dawał całkiem duże szanse na sukces, ludzi kręciło się tu sporo.

Niedługo potem Edzio stał się niemal bezdomny, bo Ania odrzuciła jego oświadczyzny i postanowiła wyjechać z kraju, by rozpocząć karierę za granicą, a i jedno, i drugie zrobiła z takim wdziękiem, że nie umiał mieć do niej pretensji. Wydawało się nawet, że szybko się otrząsnął po otrzymaniu bolesnego kosza, ale jak było naprawdę, wiedział chyba tylko on. Wciąż miał gdzieś pierścionek z rubinowym oczkiem, który kupił Ani; wyciągał go czasami, choć sam nie wiedział po co. Ostatnio robił to jednak coraz rzadziej – praca w kuchni pochłaniała go bez reszty, więc nie miał czasu na rozmyślanie. Mimo to wciąż śledził newsy na temat baletu, kupował płyty z muzyką klasyczną i wypatrywał w obsadach nazwiska swojej byłej ukochanej.

Resztkę pieniędzy, które dostał od brata, przeznaczył na zaadaptowanie części sutereny na małe mieszkanko, ot, niewielki pokój gościnny, sypialnia i łazienka. Miejsca na przygotowywanie posiłków nie potrzebował, bo przecież piętro wyżej miał piękną, doskonale wyposażoną kuchnię swojej restauracji. I tym się zadowalał. Starał się nie dostrzegać brzydoty i prostoty mieszkania. Lep-

sze nie było mu potrzebne – przecież i tak każdego dnia po zamknięciu Cannelloni padał ze zmęczenia i miał wrażenie, że usnąłby gdziekolwiek. Za to kuchnia była jego dumą. Inwestował w nią coraz więcej pieniędzy – nowe sprzęty, stalowe blaty, coraz wymyślniejsze noże do wszystkiego. Kupił też firmowe stroje nie tylko dla kelnerów, lecz także dla kucharzy. Skoro aspirował do tego, by mieć najlepszą restaurację w mieście, to trzeba było od czegoś zacząć. I chyba najpewniej czuł się właśnie w kitlu szefa kuchni, ze swoim nazwiskiem wyszytym na lewej kieszeni. Ten strój przysłał szarobure ubrania, które nosił na co dzień i których nie cierpiał kupować, więc nowe niewiele się różniły od tych wiszących w jego szafie. Przede wszystkim wygoda i prostota – to była jego dewiza. I w codziennym życiu Edek właśnie taki był – szary i prostoduszny, bez zbędnych upiększeń. W lustrze widział zwykłego faceta, jakich wielu na ulicach; szczupły, z wielkim nosem, niebieskimi, wiecznie załzawionymi oczami, bo odkąd przeprowadził się do centrum miasta, wciąż miał katar sienny, i szaroblond czupryną, którą starał się zaczesywać do góry, choć za nic nie chciała z nim współpracować, więc w połowie wieczoru, w ferworze gotowania, miał już na głowie mały rozgardiasz.

Ostatnio zauważył, że skóra pod oczami zaczyna mu się nieco marszczyć.

– Latka lecą, chłopie – powiedział do swojego odbicia i postanowił zainwestować w jakiś prawdziwie mę-

ski krem, jeden z tych, które widywał w perfumerii na rynku. Oczywiście szybko wyparowało mu to z głowy i kremu nie kupił nigdy.

Kiedy wkładał na siebie swój fartuch szefa wszystkich szefów, o, wtedy zwyczajny Edek zmieniał się w Edwarda – artystę kreującego coraz to nowe dania, stanowczego szefa kuchni, z którym nie podejmowało się dyskusji, tylko bez szemrania spełniało jego polecenia. Gdy pochylał się nad przygotowywanymi właśnie specjałami, gdy próbował, czy smak go zadowala, wówczas naprawdę wzbudzał szacunek.

Gotowania uczył się we Włoszech, gdzie pojechał w czasie studenckich wakacji i aby dorobić do skromnego budżetu, zatrudnił się w lokalnej trattorii. To tam polknął kulinarnego bakcyła i powoli otwierał się na smaki i zapachy, uczył się gotować prosto i smacznie. Miesiąc po miesiącu zgłębiał tajniki kulinarnej magii. Ostatecznie studiów nie skończył, został we Włoszech kilka lat, dwa lata spędził w Anglii, a po powrocie do kraju zastąpił już poważnie chorego ojca w jego małej kanapkowni.

Edward najbardziej lubił chwile tuż po zamknięciu restauracji. Miasto już zasypiało, kuchnię opuszczali ostatni pracownicy, szumiały zmywarki i wyparzarka do naczyń, a on wreszcie miał czas dla siebie. Włączał wtedy muzykę i tworzył nowe dania, smakowite, kolorowe, łączył ze sobą składniki, których nikt przy zdrowych zmysłach by nie połączył, a w jego wykonaniu zadziwiała smakiem.

Wstyd mu było przyznać, ale największa wena przychodziła podczas słuchania *Jeziora łabędziego*. Z każdym utworem wracała do niego pewna drobna postać stojąca na scenie, a jej wspomnienie chwytalo go za serce tak mocno, że aby je zagłuszyć, rzucał się w wir bulgoczących wywarów i skwierczących na gorącym tłuszczu mięs, kroił, szatkował, doprawiał i próbował, starając się skupić tylko na tych czynnościach. Chociaż ostatnio nie miał siły nawet na te godziny nocnego pichcenia. Po przejrzaniu faktur i zrobieniu zamówień na kolejne dni siedział po prostu przy stoliku pod oknem, sączył piwo i gapił się bez sensu na ciemną ulicę, a później szedł do swojej ponurej sypialni i padał jak długi na łóżko.

Tego wieczoru zauważył, że w kamienicy naprzeciwko, w mieszkaniu na piętrze, tuż nad starym warsztatem zegarmistrza, świeci się światło. I że na parapetach okien ktoś postawił skrzynki z kwiatami. Przykuło to jego uwagę tak bardzo, że niechcący wysłał do hurtowni zamówienie na podwójną ilość przypraw. Najwyraźniej albo ktoś kupił lokal, albo wprowadził się tam któryś ze spadkobierców pana Jana. Bardzo lubił dziarskiego staruszka, który – odkąd Edek pamiętał – prowadził w tym miejscu zakład zegarmistrzowski. To był człowiek starej daty, zawsze kulturalny, taktowny, a w dodatku potrafił zreperować wszystko, nie tylko zegary. Kiedyś w restauracji mieli mały potop, pękła uszczelka przy zaworze i gdyby czekali na hydraulika, cała kuch-

nia zostałyby zalana. Pan Jan spojrział fachowym okiem na usterkę, przyniósł ze swojego zakładu konopie, gumę i narzędzia i w pięć minut naprawił całość.

– Gotowe. Do przyjazdu ekipy wytrzyma – oznajmił, pakując narzędzia do swojej znoszonej czarnej torby.

Z tą skórzaną torbą w każdy pogodny dzień po zamknięciu zakładu, około godziny czternastej, wsiadał na rower i pedałowal na działkę, by pogrzebać trochę w ziemi i podhodować kwiatki. Mimo skończonych osiemnastu lat wciąż cieszył się dobrym zdrowiem, żartował nawet, że to dzięki mleku ma siłę pedałowal dziarsko jak czterdziestolatek i wciąż patrzeć na świat z ciekawością. Po tej awarii nauczył Edwarda podstaw naprawiania sprzętów domowych, co według niego każdy prawdziwy mężczyzna powinien umieć, i odtąd dla Edka podłączenie pralki, reperacja kranu czy spłuczki były pestką. Dzięki niemu w miarę szybko pozbierał się też po odejściu Ani, po prostu w męskim towarzystwie wypili kilka wódek, porozmawiali o życiu, kobietach i Edkowi zrobiło się jakoś lżej na sercu. Pan Jan opowiedział mu o swojej pierwszej miłości, która zginęła w czasie wojny i o której długo nie mógł zapomnieć, aż w końcu pewnego dnia przez okno dojrzał kobietę i od razu wiedział, że to będzie jego żona. I prorokował, że jego, Edka, zawsze może spotkać to samo, więc ma trzymać fason i się nie poddawać.

Edek odwdzięczał się staruszkowi, jak mógł, za tę ojcowską troskę. Gdy zmarła pani Janina, żona zegarmistrza, dbał, by ten codziennie jadł obiad, z restauracji

przysyłał do domu naprzeciwko ulubione potrawy pana Jana. W zamian ten podarował Edwardowi stary drewniany zabytkowy zegar z drugiej połowy XIX wieku, żeby ozdobił gołe ściany trattorii. Zegar od dawna nie działał, nikt nie potrafił go naprawić.

– Za delikatny mechanizm, od stu lat takich nie robią – mawiał zegarmistrz. – Zawsze bałem się w nim grzebać.

Zegar właściwie nie był Edkowi podarowany, a wypożyczony; ten zobowiązał się oddać go kiedyś Weronice, wnuczce pana Jana, oczywiście gdyby dziewczyna kiedykolwiek pojawiła się w domu na Staromiejskiej. Podobno mieszkała w Szwecji, wyszła tam za męża i od tego czasu bardzo rzadko odwiedzała dziadków. Edek widział raz czy dwa razy volvo na szwedzkich numerach stojące pod kamienicą, ale samej kobiety nie zauważył nigdy, więc zegar wciąż wisiał na honorowym miejscu w Cannelloni.

Wnuczka nie pojawiła się nawet na pogrzebie staruszka w kwietniu tego roku. Pewnego dnia pan Jan zasłabł w swoim zakładzie, kiedy reperował kolejny zegar. Śmiał się wiele razy, że przez te zegary podpisał ze śmiercią specjalny pakt, dlatego czas się go nie ima. Cytował też przysłowie, że jeśli starzec przeżyje marzec, to będzie żył kolejny rok. Marzec przeżył w dobrej formie, ciesząc się z budzącej się wiosny, która oznaczała, że lada dzień będzie mógł rozpocząć sezon działkowicza, ale tuż po Wielkanocy karetka zabrała go do szpitala i już stamtąd

nie wrócił, a Edek poczuł się tak, jakby po raz kolejny stracił ojca. Rodzina pana Jana zabrała część jego rzeczy, a później dom opustoszał. Teraz właściciel Cannelloni widział rozświetlone okna i zastanawiał się, kogóż to los podarował mu jako sąsiada.

Rozpakowanie walizek zabrało Weronice kilkanaście minut. Od czasu wyprowadzki od Larsa nauczyła się funkcjonować z minimalną liczbą rzeczy. Starła się mieć jak najmniej, żeby nie musieć taszczyć ciężarów podczas kolejnych przeprowadzek. Nawet wszystkie książki w ojczystym języku zabrane z mieszkania przy Odenplan oddała polskiej bibliotece w Sztokholmie. Swoje ukochane powieści zaczęła kompletować w wersjach elektronicznych, e-booki miały dla niej ten plus, że nie musiała długo czekać na przesyłkę z polskich księgarni, wystarczyło kilka kliknięć i już miała nowości wydawnicze u siebie na czytniku. Dzięki temu, zmieniając po raz kolejny mieszkanie, mogła całą bibliotekę zmieścić w torebce zamiast w kilku ciężkich pudłach.

Ubrań też nie miała wiele. Po opuszczeniu przytulnego mieszkania męża, gdy siłą rzeczy została zmuszona do rozsądniejszego gospodarowania pieniędzmi, starała się nie wydawać majątku na ciuchy. Wystarczało jej kilka kompletów – zestawiała je ze sobą w różnych konfiguracjach i okraszała albo niedrogimi dodatkami robionymi ręcznie, albo designerskimi i markowymi, które Lars

kupował jej kiedyś bez opamiętania. Doskonale umiała łączyć nowe ze starym, tanie z drogim i z reguły udawało jej się osiągnąć naprawdę rewelacyjny efekt. Dlatego teraz wystarczyło rozwiesić barwne tuniki i sukienki w starej dębowej trzydrzwiowej szafie. Zajmowały wybitnie mało miejsca, co oznaczało, że Werka dostała przyzwolenie od losu na kolejne łowy w second-handach. Ułożyła bieliznę w szufladach, kilka par butów wcisnęła do szafki w korytarzu, posegregowała ogromne naszyjniki i bransoletki, które uwielbiała, i było po sprawie.

Sporym balastem w jej walizce okazały się jednak wszystkie rozpoczęte lub ledwie przygotowane rękodzieła. Przywiozła ze sobą otwarte tubki z farbami, niepolakierowane drewniane deseczko-wieszaczki ozdobione techniką decoupage'u, wszystko to, czego w Szwecji zostawić nie mogła, bo tylko jej ręce były w stanie dokończyć te dzieła. Z bagażu podręcznego wyciągnęła też w końcu najważniejszy projekt – kolorowe bloki do patchworku Dear Jane.

Weronika na informację o Dear Jane wpadła przypadkiem. Na początku lutego siedziała w domu i szukała kursów szycia aplikacji odwrotnych, przeglądając blogi patchworkowe. Ze zdumieniem zauważyła, że co rusz pojawia się na nich wzmianka o tej niepozornej na pierwszy rzut oka kołdrze. Poszperała w internecie i wyczytała, że Dear Jane to najślynniejszy patchwork, szyty w czasie wojny secesyjnej przez Jane A. Stickle. Jej małżonek wojował, a ona siadywała na werandzie

i ręcznie szyła dwieście dwadzieścia pięć bloków, każdy z nich był różny, każdy uszyty z innych skrawków tkanin.

Weronika przywiozła z Houston, z targów patchworkowych, na które zabrał ją Lars, wiedząc, jak kocha tkaniny i szycie, opasła księgę z historią Dear Jane i wzorami każdego kwadracika oraz opisami ich wykonania. I właśnie wtedy przyszedł jej do głowy karkołomny pomysł – uszyje taką kołdrę. Ręcznie. Bez żadnego wspomagania, bez używania nowych tkanin, noży obrotowych i maszyny do szycia. Szycie ręczne zawsze ją uspokajało, więc przebrnięcie przez dwieście dwadzieścia pięć bloków szytych różnymi technikami sprawi, że ukoi skołatane po rozstaniu z mężem nerwy i odzyska pewność siebie. Napisała wtedy na swoim blogu:

14 lutego, walentynki. Jestem ni pies, ni wydra, ani panna, ani mężatka. ./ Dziś wieczorem zabrałam się do tworzenia pierwszego z bloków do Dear Jane, chociaż powinienam ją nazwać inaczej – nazwa Zakochana Kołderka byłaby idealna. Przede mną mnóstwo ręcznego szycia, zastanawiam się, czy uda mi się w ciągu roku skończyć ten patchwork. Będzie on formą terapii po nieudanym małżeństwie, zdradzie i złamanym sercu. Mam nadzieję, że gdy pochylę się nad materiałem i igłą, sama ze swoimi myślami, dojdę w końcu do ładu ze wszystkimi uczuciami. I może wtedy, gdzieś na końcu drogi (albo raczej nici), znajdę jeszcze raz prawdziwą miłość.

Postanowiłam rozpocząć nie od początku książki ze wzorami, jak Pan Bóg przykazał, a od bloku B-3, który nazywa się Odbicie Lustrzane. Terapię czas zacząć, ponieważ w tej chwili moje lustrzane odbicie mówi, że jestem stara, brzydka, gruba i nikomu niepotrzebna, i nawet mąż wolał inną zamiast mnie. No, takie bywa życie. Ale tak czy inaczej – do czasu ukończenia Dear Jane żadnych romanśów, miłostek ani facetów! Słowo harcerza!

Wyjęła i wygładziła ten uszyty jako pierwszy blok. Wydawał się łatwy, a nabiedziła się przy nim sporo, bo składał się z ćwiartek okręgu połączonych z narożną tkaniną. Żeby go uszyć, musiała nacinać brzegi materiału, co chwila je naciągać i sprawdzać, czy są równo przyszyte.

Rozłożyła przed sobą na dywanie wszystkie gotowe już kwadraty i w pokoiku od razu zrobiło się weselej. Przydałaby się jej korkowa tablica, na której mogłaby przyczepiać poszczególne rzędy patchworku. Byłoby łatwiej nad nimi zapanować.

W walizce zostały jeszcze trzy opasłe segregatory z pomysłami i wzorami, które pieczołowicie zbierała; to chyba one ważyły najwięcej w jej bagażu. Zająły honorowe miejsce na stoliku pod oknem, w wykuszu. Będzie miło siedzieć tam w wyściełanym aksamitem fotelu, pić herbatę i przeglądać wykroje albo szkicować nowe pomysły. Tak, to był czas na herbatę, zaparzoną w starym czajniczku z utraconym uszkiem. Wciąż pamiętała dło-

nie babci, które z namaszczeniem odmierzały liściastą herbatę, dodawały maleńką szczyptę soli i zaparzały aromatyczny, ciemnoczerwony napar.

Zachciało jej się do tej herbaty czegoś słodkiego, ale szczęśliwym trafem nie miała w mieszkaniu żadnych łakoci. Gdyby były, pewnie szybko odreagowałyby stres związany z przeprowadzką, pożerając tabliczkę czekolady lub pączek. Tym razem musiała się zadowolić jabłkiem.

– Tym lepiej, trzeba dbać o linię – pocieszyła się, siadając w fotelu i biorąc się do przeglądania rodzinnego albumu, który znalazła w bieliźniarce. Szybko jednak zmorzył ją sen.

Nawet nie wiedziała, jak długo trwała jej drzemka. Za oknem zapadała już noc, więc zapaliła lampę i pokój wypełniła smuga ciepłego światła. Spojrzała na przykurzone szyby. „Trzeba będzie umyć okna”. Dziś nie dała rady wiele zrobić w mieszkaniu dziadków, wysprzątała jedynie korytarz i kuchnię, uprała koce i firanki. Właśnie, pranie – trzeba w pierwszej kolejności kupić nową pralkę, bo stara radziecka wiatka przepuszczała wodę i wirowała tak, jakby zaraz miało nastąpić trzęsienie ziemi. W pojemnej szafie znalazła, ku swojej radości, komplety rozszywanej haftem pościeli, więc szybko przygotowała sobie wygodne spanie. Na targu kupiła pelargonie i doniczki – babcia zawsze uprawiała je na parapetach. Weronika stwierdziła, że przydałoby się powiesić jeszcze

jakieś zasłony, ale po namyśle uznała, że ten widok na uliczkę jest uroczy i nie chce sobie go zasłaniać. I tak nikt nie wiedział, że wielkie, kwadratowe, sięgające niemal do podłogi okna na pięterku kryją za sobą jej nową sypialnię, więc równie dobrze mogło zostać tak, jak jest.

– Czas szykować się do spania, moja droga. Jutro bierzemy się za duży pokój, a tam jest co robić – mruknęła i poszła się umyć w blaszanej wannie stojącej na czterech nogach.

Łazienka to kolejne pomieszczenie, w którym trzeba gruntownie posprzątać. Podłoga była wyłożona zachwycającymi biało-czarnymi kafelkami, identycznymi z tymi w sklepie, ale mocno poszarzały. Weronika już wyobrażała sobie to miejsce urządzone jak mały pokój kąpielowy, z kobiecymi gadżetami, flakonikami, stojakiem na ręczniki; widziała taki w którejś z gazet wnętrzarskich i bardzo jej się spodobał. Ale łazienkowe okno zdecydowanie trzeba będzie czymś przysłonić. Jutro pójdzie poszukać odpowiedniej tkaniny w srebrzystym odcieniu, pasującym do starych wytłaczanych tapet.

W tym momencie zadowolili się kupionymi dziś pachatymi ręcznikami w kolorze intensywnej śliwki i zanurzyła się w gorącej kąpiel. To była jej chwila relaksu, układania sobie w głowie zdarzeń z kończącego się dnia i planów na kolejne. I tak, leżąc w pachnącej wodzie, z mokrym, aromatycznym kompresem na oczach, który podobno miał dodać im blasku, Weronika planowała,

co musi jutro zrobić. Sprzątanie, zakupy, trzeba się trochę rozejrzeć po okolicy i zobaczyć, czy jej wymarzony sklepik ma tu w ogóle rację bytu – a nuż od czasu, kiedy była tu ostatnio, ktoś otworzył w okolicy taki lokal. Gdyby tak się stało, jej zamierzenia zdecydowanie wzięłyby w łeb i Robótkowo pozostałoby tylko słodkim marzeniem, a ona musiałaby znaleźć sobie pracę u kogoś, co obecnie, po długim czasie bycia wolnym strzelcem, wydało jej się dość przerażające.

„Okej, nie ma co się nad sobą rozczulać i zamartwiać, trzeba żyć dalej i działać, działać, działać! Ale najpierw spać!” – pomyślała i przebrała się w kusą sukieneczkę służącą jej za najwygodniejszy strój do spania. Tak ubrana wychyliła się jeszcze przez okno, wciągając głęboko do płuc orzeźwiające nocne powietrze. Do głowy jej nie przyszło, że o tej godzinie ktokolwiek może ją obserwować – okna okolicznych mieszkań były ciemne. Nie spojrzała jednak w stronę Trattorii Cannelloni, skąd jej sylwetce bacznie przyglądał się pewien podglądacz.

Stuk, stuk, stuk – palce Edka miarowo uderzały w klawiaturę. Zalogował się na swoje konto na portalu randkowym i ze zmarszczonymi brwiami przeglądał wiadomości. Spam, spam i to też spam. Jednym ruchem wyrzucił kilka maili do kosza. Po chwili jego uwagę przykuła uśmiechnięta twarz długowłosej brunetki.

Cześć. Jestem Kaśka. Zobaczyłam Twój profil i pomyślałam, że może trochę popiszemy i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Przejrzał informacje o niej i spodobało mu się to, co pisała. Konkretnie, rzeczowo, z odrobiną humoru. Wolny czas spędzała na wspinaczce, lubiła zwierzęta i dobrą kuchnię. O, to już coś! Odpowiedział w kilku zdaniach, że chętnie ją pozna, zapytał, czym się zajmuje i czy umówiłaby się z nim na kawę.

Kilka wiadomości, jakie wysłał poprzednio do innych kobiet, pozostało bez odzewu. Hm... Szczególnie czekał na maila od Agnieszki, pracującej w pobliskiej korporacji. Widywał ją czasami w pobliżu restauracji, ale ona nie miała zielonego pojęcia, że mogą się znać z widzenia, bo Edek wszystkim dziewczynom wysyłał swoje zdjęcie w okularach przeciwsłonecznych, więc trudno było go rozpoznać. Napisał do Agi kilka słów.

Cześć. Dostałaś moją ostatnią wiadomość? Niepokoi mnie trochę to milczenie z Twojej strony. Miło mi się z Tobą pisze i zastanawiam się, co u Ciebie.

Zanim jednak ją wysłał, spostrzegł, że poprzedni mail od niego dziewczyna przeczytała niemal od razu. Stwierdził, że skoro dotąd nie odpisała, to chyba nie ma sensu wysyłać już do niej żadnej wiadomości, inaczej wyjdzie na desperata. Spokojnie poczeka na rozwój sytuacji. Naj-

wyraźniej przyznanie się, że jest kucharzem, skutecznie odstraszało od niego większość kandydatek.

Potaął palcami policzek, a niegolony od wczoraj zarost zachrzęścił lekko. W swoim profilu napisał, że jest właścicielem firmy, co było w stu procentach prawdą, a że ta firma to restauracja – w czym to przeszkadzało? Był uczciwy, pracowity, płacił podatki i nie kombinował w biznesie, a gdy już kogoś poznał lepiej i minęła pierwsza nieśmiałość, tryskał humorem i optymizmem, potrafił być wspianiałym kompanem. Jednak początkowa faza znajomości, to całe obwąchiwanie się i krygowanie, puszenie piórek przed potencjalnym partnerem zawsze wywoływały u niego niemałe skrępowanie. Jeszcze przed etapem Ani Bednarek umawianie się na randki wychodziło mu naprawdę dobrze, ale gdy Ania odrzuciła zarówno jego, jak i ich związek oraz miłość i odeszła, podkopała całkowicie jego wiarę w siebie.

Do tego, odkąd pamiętał, miał dość spory problem z jąkaniem. Wystarczyło go lekko zbić z tropu jakimś pytaniem, a zaczynał się zacinać i nijak nie mógł wydobyć z siebie pełnego zdania. Osoba, której wypowiadać się przychodzi bez trudu, nigdy nie zrozumie jąkały. Edek nie cierpiał siebie w chwilach, gdy słowa więzły mu w gardle i nie mógł wykrztusić prostych sylab. Weź tu rób dobre wrażenie na randce, gdy zawieszasz się na jednym słowie, oczy gwałtownie szukają jakiegoś punktu zaczepienia, a twarz wykrzywia mimowolny grymas. Nienawidził tego z całego serca i zawsze starał się z tą

przypadłością walczyć, z różnym skutkiem. Teraz jękanie zdarzało mu się niezmiernie rzadko, ale cierpiał z tego powodu nie mniej niż w dzieciństwie. Uważał, że ma wtedy wyjątkowo mało męski głos, więc każda taka sytuacja była dla niego potwornie stresująca.

Ponownie sprawdził wiadomości. Nic nowego. Zalogował się jeszcze do swojej galerii zdjęć na Flickrze i uśmiechnął się na widok kilkunastu nowych komentarzy od stałych obserwatorów jego dokonań. Nic o tych ludziach nie wiedział, ale w takich dniach jak dzisiejszy, gdy nachodziły go zwątpienie i samotność, miłe zdanie pod którymś ze zdjęć jego autorstwa potrafiło poprawić mu nastrój. Rozłożył się wygodnie w fotelu, zarzucając sobie stopę na kolano i podskubując skórki przy dużym palcu, obrobił w Photoshopie kolejną partię fotografii z ostatnich dni. Zaczął je umieszczać w internecie jedną za drugą, postukując w blat ze zniecierpliwieniem, bo łącze w suterenie było wyjątkowo kiepskie, więc pliki wgrywały się całymi minutami. Tym razem udało mu się uchwycić koty wygrzewające się na murku w promieniach wrześnieowego słońca, gołębie na rynku, odbicie kościoła w podeszczowej kałuży; był z tych zdjęć bardzo zadowolony.

Zmarzył trochę w tej swojej suterenie. Niestety, chociaż mieszkanie jako tako mu służyło, wraz z nadejściem jesieni robiło się w nim wilgotno i nieprzyjemnie. Umiejscowione w piwnicy starej kamienicy nie miało zbyt dobrej izolacji. Wrażenie chłodu potęgował też wygląd jego

królestwa. Ponieważ budżet miał dość ograniczony, z pomocą brata Karola wyłożył podłogę terakotą kupioną na wyprzedży w markecie budowlanym. Miała jedną zaletę – była tania, ale nie dało się powiedzieć, że powalała pięknem. Edek nie przepadał za jej rdzawym odcieniem, ale przynajmniej widać było na niej kurz i gdy fruwające wszędzie kłaki zaczynały go razić, wyciągał odkurzacza i brał się do sprzątnia.

Ze starego domu przywieźli obszerną zieloną kanapę, która zajmowała znaczną część pokoju służącego za pomieszczenie do pracy i salon do przyjmowania gości. Wygodnie się na niej leżało i oglądało telewizję, ale kurzu zbierała całą masę. Edek dziwił się, jakim cudem, gdy tylko rzucił się na nią, wokół unosi się pył drapiący w gardło. Powinien chyba zainwestować w nowy mebel, wstydził się przyjmować tutaj kogokolwiek, jednak zanim zdążył podjąć ostateczną decyzję o zakupie, zaraz pojawiały się pilniejsze wydatki.

Sypialnia też nie była najpiękniejsza. Ot, w kącie proste sosnowe łóżko ze skotłowaną kołdrą i poduszką, obleczone w poszwy z kory, których nie trzeba było prasować po praniu, stojące obok drewniane krzesło, służące głównie do ciskania na nie zdjętych przed kąpielą ubrań, pojemna szafa ze skrzypiącymi przeraźliwie drzwiami i jakiś bohomaz powieszony na pomalowanej na morelowo ścianie, kupiony okazji razem z szafą na wyprzedży.

Edek od kilku lat usilnie zbierał na mieszkanie, bo zdawał sobie sprawę, że żadna normalna kobieta nie przyjdzie żyć z nim w suterenie, ale szło mu to jak po grudzie, więc wizja jakiegoś jasnego i przestronnego lokum na nowo budowanym osiedlu wciąż pozostała dość odległa.

Westchnął ciężko. Powinien jeszcze sprawdzić faktury, których cała sterta uzbierała się przez kilka dni, ale kompletnie nie miał na to ochoty. Postanowił iść spać i odzyskać siły, bo doświadczenie podpowiadało mu, że najbliższy wieczór będzie wypełniony bardzo intensywną pracą, jak to zazwyczaj w piątki bywało.



Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl

www.wnk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Ecco-Book Cream 60 g/m² wol. 2,0.*

Redaktor prowadzący *Anna Garbal*
Opieka merytoryczna *Joanna Kończak*
Redakcja *Anna Brynkus-Weber*
Korekta *Katarzyna Wasylić-Komeduła,*
Ewa Mościcka, Krystyna Wysocka
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Agnieszka Matulka*

ISBN 978-83-10-12591-0

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014 r.
Wydanie pierwsze
Druk: Nasza Drukarnia